

Duch jakobiński [FELIETON]

Coraz częściej odnoszę wrażenie, jakby w Brukseli zapanował jakiś „duch jakobiński”, najzupełniej politycznie irracjonalny, także z perspektywy długofalowych interesów Unii Europejskiej – pisze Jan Rokita w kolejnym felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

Wart uwagi i pouczający jest poważny spór z Brukselą, w jaki wdała się ostatnio Dania. Mówi on bowiem sporo o naturze dzisiejszej Unii Europejskiej i potencjalnych kierunkach głębszej integracji. A poszło na ostro, gdyż rząd w Kopenhadze oskarżył Komisję Europejską, ni mniej ni więcej, jak o... usiłowanie zerwania umowy akcesyjnej, na mocy której Dania wstąpiła do Unii w roku 1973. *Casus belli* stanowią reguły dotyczące rynku pracy, a w szczególności natrętne forsowanie przez Komisję nowej dyrektywy, wprowadzającą obowiązkową w całej Unii płacę minimalną. Peter Hummelgaard Thomsen – duński minister pracy oświadczył, iż „suwerenność w dziedzinie pracy była i nadal pozostaje warunkiem członkostwa Danii w UE”, albowiem duńskie związki zawodowe pół wieku temu zgodziły się niezbyt chętnie na akces do Unii jedynie pod warunkiem, że „przekazanie uprawnień na rzecz Unii nie zagrozi duńskiemu modelowi rynku pracy”. Thomsen zapowiedział pełną gotowość kraju do walki o utrzymanie niezależności, gdyż jego zdaniem Bruksela próbuje interweniować „w coś dla nas bardzo świętego”. Wszystkie te wojownicze zapowiedzi wobec Unii duński minister formułuje w szeroko czytany w świecie, choć w Polsce w zasadzie nie zauważonym, wywiadzie dla Bloomberg.

Bruksela chce w różnych dziedzinach życia „zestandardyzować” par force całą Unię, nie bacząc ani na polityczny rozum, ani tym bardziej na ugruntowane narodowe czy regionalne tradycje i obyczaje

Co nie bez znaczenia, od 2019 roku Danią rządzą socjaliści i także minister pracy jest członkiem tej partii. W sporze z Komisją nie idzie zatem o to, kto lepiej zadba o materialne interesy duńskich pracowników.

Lewicowy rząd nie bez powodu przechwala się, iż w duńskich McDonaldach można zarobić 22 dolary za godzinę, o czym nie śni się nawet pracownikom we Francji czy Italii. Ale Dania, podobnie zresztą jak Szwecja i Finlandia, ochrania i traktuje jako coś w rodzaju „dobra narodowego” system swobodnych rokowań zbiorowych pomiędzy biznesem i związkami zawodowymi, do których rząd ani parlament nie zwykł się wtrącać. „Politycy trzymają swoje długie, tłuste palce przy sobie, gdy idzie o warunki na rynku pracy” – z sarkazmem mówi Thomsen, nie okazując – jak widać – przesadnego respektu dla swej własnej politycznej profesji. Tymczasem Komisja napiera, aby ów system, który nie tylko jest w Danii funkcjonalny, ale za którym stoi na dodatek silna skandynawska tradycja, za wszelką cenę rozwalić, obligując bez wyjątku wszystkie państwa unijne do ustanowienia państwowej przymusowej „płacy adekwatnej”. Dlaczego? Doprawdy, nie jest łatwo doszukać się tu jakiegokolwiek racjonalności politycznej.

Można zrozumieć Macrona grożącego Polsce sankcjami z powodu tzw. „dumpingu socjalnego”, gdyż konkurencja płacowa ze strony polskich firm doprowadza od lat polityków francuskich do białej gorączki, zaś Macron wpadł w szał, gdy Whirpool postanowił tuż przed francuskimi wyborami przenieść produkcję suszarek z jego rodzimej Pikardii do Łodzi. I można nawet zrozumieć, czemu Komisja Europejska, nie bardzo mogąca sobie pozwolić na otwartą konfrontację z interesami Paryża czy Berlina, narzuca w różnych dyrektywach ową nieszczęsną „pensję adekwatną” krajom Europy Środkowej, okazując lekceważenie dla naszych interesów. Ale obecny przykład konfliktu z Danią unaocznia, że rzecz tkwi nie tylko w twardych interesach, co daje się przecież pojąć w kategoriach klasycznej polityki. Od jakiegoś bowiem czasu Komisją (a także Parlamentem Europejskim, kto wie czy nie nawet w większym stopniu) zawładnął swoisty duch doktrynerstwa, sprawiający, że Bruksela chce w różnych dziedzinach życia „zestandardyzować” *par force* całą Unię, nie bacząc ani na polityczny rozum, ani tym bardziej na ugruntowane narodowe czy regionalne tradycje i obyczaje. Coraz częściej odnoszę wrażenie, jakby w Brukseli zapanował jakiś „duch jakobiński”, najzupełniej politycznie irracjonalny, także z perspektywy długofalowych interesów Unii Europejskiej. I co najsmutniejsze, ów „duch jakobiński” przeflancowuje z łatwością umysły rozsądnych na pozór ludzi, którzy wpadli w brukselskie sieci. Twardogłowym San-Justem, który stał się dziś twarzą Komisji w doktrynerskiej wojnie z Danią jest niestety niegdyś liberalny i zdroworozsądkowy premier Łotwy Dombrovskis – obecnie faktycznie „komisarz”, w najgorszej konotacji tego terminu.

Ale duński przypadek jak w soczewce pokazuje również naturę obowiązującej dziś w Unii metody pogłębiania integracji. Jako federalista (choć po świeżych doświadczeniach, już o wiele bardziej

Komisja woli rozszerzać swoją władzę poprzez coraz silniejszą presję na glajszachtowanie krajów unijnych, wydzierając im ich tradycje, obyczaje, albo jeszcze gorzej – suwerenność kształtowania swoich demokratycznych instytucji

ostrożny niżli
kiedyś) nadal z
satisfakcją
przyjąłbym –
najzupełniej dziś
hipotetyczne –
przejęcie przez Unię
od państw
kompetencji w
takich dziedzinach,
jak budowa sieci
głównych dróg,
restytucja
europejskich linii

kolejowych, gęstość światłowodów, czy dostawy surowców energetycznych. Nawiasem mówiąc, w tej ostatniej sprawie dwaj polscy premierzy – Marcinkiewicz i Tusk – występowali swego czasu z „federalnymi” projektami, obaj najzupełniej bez sukcesu. Zamiast zatem poddać debacie jakie nowe obszary polityk publicznych można by uznać za „europejskie”, a nie „narodowe” w interesie gospodarczej spójności Unii, Komisja woli rozszerzać swoją władzę poprzez coraz silniejszą presję na glajszachtowanie krajów unijnych, wydzierając im ich tradycje, obyczaje, albo jeszcze gorzej – suwerenność kształtowania swoich demokratycznych instytucji. Jest to metoda pod każdym względem szkodliwa, i aż dziw, że brukselscy jakobini stali się ślepcami, niby patrzącymi, a nie widzącymi skutków takiej strategii. Nie doprowadzi ona już nigdy do nowych traktatów, które realnie poszerzałyby zakres europejskiego quasi-federalizmu. Przeciwnie, musi wywoływać tylko kolejne, coraz to nowe przejawy złości i oporu, który wcześniej czy później wybuchnie, uderzając może nie tyle w samą Unię, ale na pewno w jej dwie główne wspólnotowe instytucje – tzn. Komisję i Parlament. Nic dziwnego, że w obliczu obecnego konfliktu duńscy

proeuropejscy intelektualiści – tacy jak Marlene Wind z Uniwersytetu Kopenhaskiego, z melancholią wspominają czasy, gdy mocnym członkiem Unii była Wielka Brytania. „Mogliśmy się wtedy skryć za plecami Anglików – mówi profesor Wind – więc ludzie postrzegali Danię jako miły, zgodny z Unią kraj. A teraz prawda niestety musi wyjść na jaw”.

Jan Rokita

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030

